

Nie obchodziło go nic . Ani to, że drugiego kwietnia rozpoczęła się ewakuacja podobozu w Gusen. Ani to, że pospiesznie formowane kolumny więźniów wyruszyły do Mauthausen, a niezdolnych do marszu więźniów esesmani zabijali na wszelkie możliwe sposoby bez żadnej litości. Jego myśli koncentrowały się wyłącznie na tajnym hangarze Fundacji, dokąd przeniósł wszystkie dokumenty, wyniki badań i wyposażenie laboratorium. Ukryta głęboko pod ziemią malutka pakamera była zaledwie przedsiönkiem do jego największej tajemnicy. Uważał się za człowieka przewidującego, dlatego zwrot w losach wojny go nie zaskoczył. Teraz, kiedy efekty jego ciężkiej pracy zostały zabezpieczone, Josef spokojnie czekał na rozwój wydarzeń. Bo wierzył, że jego czas jeszcze nadejdzie. Tę wiarę wzmacniał w nim jeden człowiek, który pojmował znaczenie jego badań i konieczność poświęcenia ludzi.

Jedynie co mogło zagrozić jego planom, to zeznania świadków i kara śmierci, dlatego od tygodnia systematycznie wysyłał swoje obiekty badawcze do komory gazowej w zamku Hartheim. Musiał się spieszyć, bo alianckie samoloty z furią atakowały każdą niemiecką kolumnę, każdy podejrzany transport.

Mały szary autobus z zamalowanymi oknami kursował po kilka razy dziennie między obozem a zamkiem. Tego dnia Josef Schulz musiał zabrać się ostatnim kursem. Do auta wrzucił spakowaną wcześniej walizkę i usiadł obok kierowcy. Jeszcze raz przejrzał dokumenty i stwierdził z satysfakcją, że zgodnie z jego dyspozycją z tyłu jadą dwa jego najcenniejsze obiekty, dzieci Hansa. Josef był za sprytny, żeby nie widzieć, jak Hans traktował tę Polkę. Słaby duchem, w końcu dobrał się do niej jak pies do suki, hańbiąc mundur i dobre imię niemieckiego oficera. Musiał je teraz zdezynfekować, bo Reimer nie mógł się dowiedzieć, że jego dzieci przeżyły poród.

Tamtego styczniowego wieczoru Schulz długo nie mógł wyjść z podziwu dla siły i determinacji tych niemowląt, które – choć przyszły na świat sine i bez oddechu – po kilku

minutach reanimacji nagle zapłakały. Najpierw chłopiec, a chwilę potem dziewczynka, jakby usłyszała z zaświatów kwilenie brata i postanowiła do niego dołączyć. Schulz zachował to w tajemnicy. Raz – bo to właśnie na bliźniętach testował swoje specyfiki. Dwa – bo chciał mieć haka na Reimera, jak zresztą na każdego, kto mógł mu przeszkodzić w osiągnięciu celu.

Teraz to już nie miało znaczenia. Musiał tylko osobiście dopilnować, żeby ten pomiot zniknął. Hans nigdy nie zrozumiałby, że eksperymenty na nich były konieczne.

Zapadł zmrok, ale ogromny czerwony księżyc zmusił ciemność do wycofania się w zakamarki i szczeliny. Znajdował się tak blisko Ziemi, że Josef dostrzegł szczegóły na jego powierzchni, kratery i niezdojbyte szczyty. Kiedy tak podziwiał go przez przednią szybę autobusu, jego tarczę zaczęła przysłaniać wysoka wieża zamku Hartheim. Nieprzystający do stylu wysoki blaszany komin wypływał w niebo dusze niewarte życia. Schulz z zadowoleniem stwierdził, że jego mała fabryka wciąż działa pełną parą. To dobrze, bo autobus przywiózł bezwartościowe życia, które musiały dzisiaj zostać „zdezynfekowane”.

Podjechali tyłem do ściany, prawie pod samą basztę. Widział, jak jego ludzie się wykuszają. Znikają gdzieś, wykorzystując fakt, że nikt już nad niczym nie panował. Schulz wyszedł z szoferki i polecił kierowcy otworzenie tylnych drzwi autobusu. Ze środka patrzyły na niego wielkie dziecięce oczy, ale Josef od dawna już nie miał sumienia. Udowadniał to każdego dnia. Wyciągnął pistolet i chwycił dwuletniego chłopca. Natychmiast go rozpoznał, to był bezimienny Engel. Schulz trzymał go za nogę w taki sam sposób, w jaki dzieci trzymają swoje misie. Chłopiec rozpaczliwie machał rękoma, ale Schulz nie przejmował się jego płaczem.

Kazał wszystkim wysiadać i niosąc chłopca, poszedł w stronę wejścia. Jako jeden z nielicznych wciąż nosił czarne mundur i czapkę SS. Rozejrzał się, ale nigdzie nie było jego ludzi, tylko pielęgniarki i te pieprzone siostry miłosierdzia, ustawiające się w rzędzie za

autobusem. Jedna z pielęgniarek zbiegła właśnie ze schodów. Josef Schulz rzucił jej pod nogi małego Engela. Gdy podniosła go z ziemi i przytuliła do piersi, pogroził pistoletem.

– Zanieś go do lochu, zrozumiałaś?

– Tak, proszę pana – odpowiedziała.

– I powiedz tym z dołu, żeby kogoś tu przysłali.

W tym momencie usłyszał ryk silników i po chwili nad dachami Hartheim przeleciał brytyjski spitfire. Rzucił się na ziemię. Gdy tylko zagrożenie minęło, podniósł się i zorientował, że ta sama pielęgniarka stoi przed nim z dokumentem w wyciągniętej dłoni. Schulz zaniepokoił się i obmacał swoje kieszenie, a kiedy nie znalazł tam tego, czego szukał, wyrwał jej małą książeczkę z ręki. Kobieta widziała jego zdjęcie i z pewnością przeczytała nazwisko pod nim.

– Mów, jak się nazywasz! – wrzasnął na nią, odbezpieczając swoje parabellum.

– Ingrid... – odpowiedziała przerażona

Powodzenie jego sekretne planu zależało od milczenia jednej pieprzonej pielęgniarki. Był tylko jeden sposób, żeby zachować go w tajemnicy. Niespodziewanie pojawił się kierowca, krzyżując mu plany. Josef ze złością odłożył egzekucję.

– Zabieraj tego dzieciaka i wynoś się! *Los, los, los!* – wydarł się na pielęgniarkę.

Kobieta błyskawicznie zniknęła w bramie. Schulz odprowadził ją wzrokiem. Wydało mu się, że ruszyła w górę baszty zamiast do lochów, ale nie miał czasu się tym zajmować. Samoloty wroga zaczęły niebezpiecznie blisko krążyć wokół zamku. Teraz musiał zadbać o siebie. Wezwał kierowcę, który zameldował mu, że autobus za chwilę się opróżni i będą mogli opuścić Hartheim.

W tej samej chwili Schulz usłyszał świst i cichnący ryk samolotowych silników. Ponownie rzucił się na ziemię i splótł dłonie na czaszce. Bomba przeleciała mu nad głową i

wbiła się w okno kancelarii na pierwszym piętrze budynku. Miał szczęście, bo nie była to jedna z tych ćwierćtonowych niszczycielek miast, raczej dziesięciokilogramowa bomba z ładunkiem fosforu, o czym świadczyły małe zniszczenia i intensywna zielona poświata płomieni liżących ścianę wokół okna.

Josef pomyślał, że w sumie alianci zrobili mu przysługę, niszcząc pozostałe jeszcze akta i rejestry „pacjentów”. Nie zmieniało to jednak faktu, że żał mu było tych tabelek, wykresów i statystyk, którymi chwalił się Himmlerowi.

Podniósł się, przetarł rękawem trupa czaszkę na czapce i założył ją na głowę. Otrzepując czarny mundur z grudek ziemi, dostrzegł w trawie swój pistolet, tuż obok leżącego kierowcy. Gdy zauważył lzy w oczach młodego mężczyzny, kopnął go z pogardą w żebra i krzyknął:

– Wstawaj, żołnierzu! Wracamy do obozu!

W czasie drogi rozkazał kierowcy skręcić do lasu, zatrzymać samochód i wysiąść z szoferki. Sam również opuścił kabinę, wyjął papierośnicę i poczęstował chłopaka papierosem. Zaskoczony młodzieniec uśmiechnął się, wsadził papierosa w usta i poklepał się po kieszeniach w poszukiwaniu zapalek. Gdy się odwrócił w kierunku szoferki, Schulz wyciągnął z kabury pistolet i oddał w jego plecy dwa strzały. Żołnierz upadł na trawę. Josef podszedł do leżącego i dla pewności strzelił z bliska w tył głowy. Zamordowanie niewinnego chłopaka nie wywołało w nim żadnych emocji. Realizował plan, a kierowca miał po prostu pecha.

Schulz wziął z kabiny walizkę i wszedł z nią do zaciemnionej części pasażerskiej autobusu, w której na stracenie jeździły jego „króliki doświadczalne”. Z namaszczeniem zdjął czarny mundur i regulaminowo złożył go w kostkę. Wciąż miał nadzieję, że jeszcze kiedyś go ubierze. Wyjął z kieszeni nowy dokument tożsamości, a z otwartej walizki

zniszczone cywilne łachy, które wczoraj zabrał z obozowego magazynu. W ich miejsce włożył mundur; spojrzął na niego ostatni raz i zamknął walizkę. Z odrazą wciągnął na siebie czyjeś ubranie.

Usłyszał dochodzący z zewnątrz warkot silnika. Brzmiał inaczej niż diesel. Walizkę z mundurem wsunął pod siedzenia i przykrył brudnym kocem. Hałas ucichł. Schulz zamarł i nasłuchiwał. Oddech przyspieszył. Odjechał?

Nagle rozległo się walenie kolbami do drzwi i krzyki, przez które przebijały się niemieckie słowa wykrzykiwane z obcym akcentem.

– *Ergebt euch und langsam raus! Hände hoch!*

– *Nicht schiessen! Nicht schiessen! Hitler kaput!* – powtarzał w kółko do amerykańskiego oficera, który celował do niego z karabinu.

W swoich planach Schulz nie przewidział, że aliancki zwiad może go tak szybko zgarnąć. Gdy dwóch amerykańskich żołnierzy celowało do niego z karabinów, oficer minął go, by sprawdzić wnętrze autobusu.

– To pierdolony dezertor – stwierdził pierwszy z nich, żując flegmatycznie gumę. – Rozwalmy go i wracajmy do naszych.

– Wyjątkowo zgadzam się z tobą, John. Pewnie jakiś esesman z obozu, bo nie wygląda na wygłodniałego – odpowiedział drugi i splunął na ziemię. – Jedna kulka i po sprawie.

– Znacie rozkazy – przerwał im oficer i zwrócił się do Josefa: – Masz jakieś dokumenty? Rozumiesz mnie?

– Tak – odparł Josef po angielsku. – Rozumiem.

Kiedy chciał sięgnąć pod marynarkę, usłyszał szcęk przeladowywanej broni. Uniósł wzrok i spojrzął w głąb pistoletowej lufy.

– Eeeee, lepiej ja to zrobię – uprzedził go oficer i wyjął z jego kieszeni dokument tożsamości.

Otworzył książeczkę i przez chwilę przyglądał się to Josefowi, to dokumentowi.

– Więc jesteś niemieckim naukowcem, tak? – zapytał w końcu.

– Tak – odpowiedział nerwowo Schulz i zaczął wyjaśniać. – Zajmowałem się...

– Nie muszę wiedzieć, czym się zajmowałeś i szczerze mówiąc, gównu mnie to obchodzi. – wycodził przez zęby Amerykanin. Przyłożył mu lufę do skroni, pchnął brutalnie, odciskając czerwony pierścień na skórze. – Najchętniej odstrzeliłbym ci ten nazistowski łeb albo zostawił Sowietom na pożarcie, ale niestety Wuj Sam rozkazał nam zwozić takich mądrali do naszego sztabu. Więc być może masz dzisiaj fart – przerwał, znów spojrzął na dokument, po czym podniósł wzrok na Schulza – panie Kopf.

Oficer przez chwilę przypatrywał mu się z uwagą, jakby rozważał jeszcze zmianę decyzji, gdy naraz nad ich głowami przeleciały nisko dwa ryczące messerschmitty 109 z czarnymi krzyżami na skrzydłach.

– Zabierać go i chodu stąd, chłopaki! – krzyknął i popchnął Josefa Kopfa w kierunku terenowego jeepa.